

Czy znamy samych siebie?

Julian Marchlewski nazwał Pożnańskie — „polską Beccją”. Słyszałem także, że jesteśmy polskim wydaniem Wandeł, co nie oznacza tego samego, lecz przyzywa bardzo zbliżone skojarzenia. Andrzej Wróblewski (nazwisko szerzej publiczności mniej znane) zabrał głos na łamach „Nowej Kultury” i stanął w obronie Poznania i okolicy. Ale przy tej towarzyskiej potrzebie trochę... poknocił. Nawet nie z wnioskami.

Ma on zupełną rację, gdy pisze, że u nas sporo nudy, że niewiele się dzieje w życiu literackim, że ludzie wyjeżdżają, że nasze miasto „przestało się nagle liczyć jako samodzielny ośrodek i zredukowało niejako swoje ambicje do roli stacji przekątnikowej między Warszawą i Szczecinem”. Na „stację przekątnikową” — zgoda, ale co do ambicji, to zbyt niżej pisał Andrzej Wróblewski. Ambicje te już mamy, miły Autorze, tylko jakby to powiedzieć... w kieszeni pusto, a z pustego — jak pouczają mędrcy — i Salomon nie należy. O pieniądzu nie my decydujemy. Sami wiecie.

Ale nie o tym chciałem pisać. Kłóciłbym się bowiem z autorem tego quasi — reportażu co do tezy, że „Poznań nie przeżył swego wieku XIX”. Dlatego, że Wokulski nie mógłby mieszkać w naszym mieście. Dlatego, że nauczyciel Hipolit Cegielski zakładał fabrykę maszyn rolniczych, a Kwileccy i Potoccy zajmowali się interesami bankowymi, zamiast czymś innym. O ile mi wiadomo, p. Radziwiłł i ludzie jego sfery należeli do rad nadzorczych warszawskiego „Banku Handlowego”, lecz nikt Warszawie z tego tytułu nie czyni wymówek albo nie wyprowadza historyzoficznych wniosków. Przecież Wielkopolski oczywiście nie opiera się tylko na epoce grynderstwa; a artykulów o Poznaniu nie wolno opierać na starych podręcznikach historycznych lub przestarzałych legendach. To pewne.

Paru domysłem i faktom przedstawię inne. Np. to, że pierwszy strajk polskich robotników, oparty o solidarność z organizacjami proletariackimi innych narodowości, odbył się właśnie w Poznaniu (wspierał ten strajk murarzy, cieśli i pomocników robotnicy berlińscy — a faktem tym zajmował się Karol Marks). Warto przypomnieć, że w czasie Wiosny Ludów spośród ziem polskich tylko Pożnańskie wystało zbrojnie; trzeba pamiętać, że to wystąpienie poprzedził okres bardzo ożywionego ruchu umysłowego i bardzo śmiałego szukanie nowych społecznych idei.

Nad moim biurkiem, gdy to piszę, wisi obraz zatytułowany: „Henryk Dębowski u Stefanki w Poznaniu”. Być może Andrzejowi Wróblewskiemu nie wiadomo, że ten ostatni był organizatorem „Związku Piechuszy”. To także tradycja. Zresztą w innych epokach bardzo rogata dusze wywoływały się właśnie z Wielkopolski. Wystarczy wymienić „niejakiego” mistrza Kilińskiego, pułkownika wojsk narodowych polskich, który wiadomą insurekcję sprawiał. Do dziś stoi w Trzemesznie (najautentyczniejsza Wielkopolska) dom, którym chlubi się tamtejsi mieszkańcy, jako że w nim się szewc-pułkownik urodził. Widocznie rola stacji przekątnikowej już wtedy była nam pisana.

Dlatego, doprawdy, z tą Wandą, z tym „chłodem”, z tymi „uczuciami” leciwej kochanki, jakim poznaniacy rzekomo darzą Operę, jest wiele gruboskórnej przesady. Oczywiście można i z warszawskich, i z krakowskich, i z śląskich tradycji wybierać coś takiego, co będzie świadczyło o „nie przeżytych wiekach XIX” lub czymś zgola gorszym. Ostatecznie, gdyby ktoś powiedział, że tradycje ostatniego dziesięciolecia Krakowa fundował człowiek typu Mazurkiewicza, mieszkańcy tego pięknego miasta mieliby prawo faceta ukamienować.

Wyrzebywanie rzeczy starych mniej boli, ale dalszy: goście z Warszawy, przestaniecie z nas robić niewinne kury zarzynane i przez Was i przez historię. Nie jesteśmy Beotami, jak to nam dziś przypisuje „Nowa Kultura”. Chyba od czasów, gdy Julian Marchlewski, bardzo przez nas szanowany — rzucił te gorzkie słowa, coś się u nas zmieniło. Epoki maszerowały mimo, nie dostrzegając pożałowania godnego kamienia przydrożnego? W Wielkopolsce panował czas niezniszczalności, niezmienności, stały? Byłby to doprawdy fenomen czasów nowożytnych.

Nawiasem mówiąc, taki fenomen łatwo wyprodukować, gdy się zapomni o tym, że w okresie między Julianem Marchlewskim i Andrzejem Wróblewskim odbyło się powstanie zwane wielkopolskim; że pierwsze lata międzywojennej niepodległości przebiegały tutaj bardzo burzliwie, począwszy od buntów wojskowych do masowych strajków przemysłowych i rolnych, w którym brało udział 150.000 robotników (sto pięćdziesiąt tysięcy!), że tradycje „czerwonego Lubonia” i chodzących strajków okupacyjnych.

(Ciąg dalszy na str. 2)

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”
Niedziela, 22 I 1956
Rok VII Numer 3

Odwracamy kierunek równi pochyłej

Reportaż z domu wychowawczego — napisał H. Jantos

Ocieżałość umysłowa, rysy historyczne, obojętność uczuciowa — tak pokrótce scharakteryzowano psychikę Czesława, kiedy trafił on na początku 1952 roku do Zakładu Wychowawczego w Owinińskich. Dopiero kilkanaście lat życia miał chłopak poza sobą, ale jego każdy rok aż pęczniał od nadmiaru „przygód”. Ucieczki od rodziców, później z zakładów wychowawczych, libacje z nieograniczoną ilością alkoholu, oto rodzynki w jego życiu miękkim jak niedopieczony ciasto. To, że ignorował sobie wszelkie rygory i hamulce, że nie uznawał żadnych autorytetów, było już następstwem określonej atmosfery, jaka była mu dotąd złym towarzyszem i fałszywym sprzymierzeńcem.

Czesław nie miał w zakładzie dobrej opinii, a jednak kierownik internatu powierzył mu ważne zadanie: dopilnowanie grupy młodszych kolegów podczas zajęć. Chłopak wyl się jak na mękach. No, cóż, nawet już oswojony wilczek kiedy znajdzie się wśród stada jagniąt, wspomni o swojej naturze. Zadanie jednak przyjął.

Później kierownik rozmawiał z Czesławem. „A gdybyś widział, że twój kolega topi się w bagnie i nad jego powierzchnią wystaje już tylko czupryna, chwycisz za nią i będziesz ciągnął do góry, czy popatrzysz obojętnie i odeszdziesz? A może wepchniesz go...”

— Nie! Co pan mówi!

Ostatnio przy nazwisku Czesława wychowawcy piszą inne niż kiedyś uwagi: „Zachowanie ucznia w szkole i w warsztacie bardzo dobre. Duże postępy w nauce.”

Trudno powiedzieć, że przytoczony wyżej wypadek i rozmowa zadecydowały ostatecznie.

Kiedy mówimy o życiu człowieka, spróbujmy wyobrazić sobie dwie szale na wadze. Każdy z ludzi ma swoją wagę. Na wszystkich drogach życia napelnia szale jego produktem. Dobrymi i złymi. Nie wystarczy jednak przechrzyć szalę, aby opróżnić ją jak torebkę z kaszy. Trzeba bez zwłoki napelnąć drugą szalę tak, aby wskazówka wagi przechyliła się na przeciwną stronę. Dobrą!

Może ostatnia kropla, jaka przy współudziale wychowawcy wpadła do dobrej szalki Czesława — przeważała?

II

Nad rozległym terenem zakładu wisi cisza. Kierownik internatu nie spał jeszcze. Zaglądał do sal sypialnych, ślizgając się spojrzeniem po rzędach białych łóżek. Wszystko w porządku. Nie! Jedno łóżko puste. Westchnął — i cicho zamknął drzwi. Kiedy na korytarzu umilkł odgłos kroków, wszystkie głowy oderwały się od poduszek.

— Ale go nakrył! Jutro będzie granda! Dobrze mu tak, niech nie łazi za dziewczuchami!

Nazajutrz podczas apelu porannego stanął w pierwszym rzędzie, aby kierownik nie musiał długo szukać jego twarzy. Czekal tylko, kiedy usłyszy swoje nazwisko. Wokół niego rosły szepty i drwiny. Kierownik zbliżał się do grupy z zamiarem rozstrzygnięcia sprawy tu, na miejscu, w obecności wszystkich wychowanków zakładu. Kiedy jednakże dościszał śmiech i kpinki, jakie zaczęły sytać się na głowę chłopaka, stanowiąc wyraz zbiorowego potępienia, kiedy do słyszał, że wokół chłopaka snują koledzy prognozyki nieuchronnej kary, przyspieszył kroku i bez słowa minął szeregi. I nigdy już do tej sprawy nie wracał. Wydawało się, że będzie zapomniana na zawsze.

Niedawno wychowawca grupy otrzymał list od byłego wychowanka, który tak rozmyślał się kiedyś w nocnych wy-

prawach. Dziękował tym, którzy pomogli mu naprostować drogę życia i nie omieszkali przy tym wrócić do sprawy nieszczej wycieczki. Pisał, że całkowite zignorowanie przez kierownika internatu jego wykroczenia, obojętne miśnienie go w chwili ogromnego napięcia nerwów, pozostawienie go tylko sam na sam z własnym sumieniem i milczeniem wówczas, gdy spodziewał się kary i już w myślach uznawał ją za słuszną — było karą jakiejś najmniej się spodziewał. Najboleśniej.

Chyba każda dziedzina życia posiada swoje kanony. Odnoszą się one nawet do nie uznających schematów dziedziny sztuki. Jest jednak pewna strona naszego działania, która traci swój sens, gubi istotę wówczas, gdy przykładamy do niej nawet najdoskonalsze szablony. Jest nią praca z ludźmi. Strzeżmy się w tej pracy szablonu. Niech nas nie zwodzą podobieństwo twarzy, a nawet upodobanie. Ktoś powiedział, że nie ma idealnie jednakowych liści na drzewach, a cóż powiedzieć o ludziach. Do każdego z nich inna wiedzie droga.

Myślę, że droga do psychiki chłopaka, o którym wyżej pisałem, wiodła poprzez pozostawienie go w odpowiedniej chwili właśnie sam na sam z jego sumieniem.

III

Przyszedł do zakładu z piętnem alkoholika i zadatkami na nihilistę; człowieka nie tyle o wygasłym, co nigdy dotąd nie rozbudzonym sercu.

Po to, aby rozpocząć leczenie, trzeba znać przyczyny choroby i jej dotychczasowy przebieg.

Andrzej Kossakowski



Reprodukujemy dziś szkice znanego kronikarza-artysty ludu berlińskiego HEINRICHA ZILLEGO.

Rysunków tych berliński artysta nie opatrzył tytułami.

skach Kazimierz Napierała, kierownik internatu Edward Wilczek, ofiarą grupą wychowawców i personelu Zakładu — nie potrzebuje pochwalnych panegiryków. Przytoczone tu wyżej przykłady z ich pracy, zmniejszona na przestrzeni ostatnich sześciu lat o 75 procent liczba ucieczek z zakładu, podkreślenie faktu wychowania w zakładzie 1293 młodych ludzi, których droga życia nim tu przyszła do złudzenia przypomina równię pochyłą. Ich praca jest odwracaniem kierunku tej „równi”.



BERLIŃSKI ARTYSTA

Wedding, robotnicza dzielnica Berlina, położona w sektorze francuskim. Od południa kanał Spandau-Berlin oddziela Wedding od Moabit, na wschód rozpoczyna się śródmieście. Zrujnowany w czasie wojny Wedding niczym prawie nie przypomina dziś dzielnicy nędzy, po której brudnych, szarych ulicach snuł się przed laty barczysty mężczyzna ze szkieletem w rękach. Uliczna gawiedź znała dobrze mądrą, o zgorzkniałym nieco uśmiechu twarz, okoloną krótko przyciętą, rudą, a później już siwą brodką. „Vater Zille” — nazywano go poufale, zerkając przez ramię na powstające rysunki. To samo w Paskow, w starym Spandau, wśród krętych uliczek Moabit, w Schoeneberg, Neukoelln, wszędzie snująca się sylwetka artysty, znana i popularna, nie budziła przez wiele lat nieczyjego zdziwienia.

Heinrich Zille nie był rodowitym berlińczykiem. W wieku lat dziewięciu przywędrował z Saksonii do Berlina i szybko zaaklimatyzował się. Ba, pokochał swoje nowe środowisko, które dla wrażliwego chłopca było stałym źródłem absorbujących obserwacji i kopalnią wrażeń. Mijały lata, były studia artystyczne rozszerzały się krąg zainteresowań, przybywało wiedzy o życiu. Gdzieś koło siedemdziesiątego roku ubiegłego wieku powstały pierwsze szkice. Potem posypały się ich coraz więcej i więcej.

Zille nie chciał malować ani rysować ekliwów, słodkich obrazków dla ozdoby mieszkaniawzbogaconego rzeźnika, kupca galanterijnego czy ministerialnego urzędnika. Wolał odzwierciedlać prawdziwe życie, przytłaczające ciężkie, beznadziejne życie biedoty, którego tak wiele widział co krok na ulicach miasta, na podwórkach, w parkach. A więc robotniczy Wedding, gdzie „w każdym domu cuchnie podwórko, w każ-

dym domu jazgot i turkot, błoto, wilgoć, zaduch, gruźlica...”. A więc stare, rozwalające się domy Spandau, w których jak szczyry gnieździł się ludźle bładzi, jak pędy kartofla, kielkujące w piwnicy. Warszawska „ulica Miła” była niejedną ulicą Zillowskiego Berlina.

Ale artyście nie wystarczało reportażowe pokazanie takiego czy innego faktu lub zwłoka. Nie, musiał zawsze wyrazić swój stosunek do niego, swój osąd, który stawał się oskarżeniem panujących stosunków społecznych. Pod rysunkami Zillego znajdujemy objaśniające teksty, przeważnie dialogi występujących osób, utrzymane w berlińskim dialekcie. Uzupełniają się one z rysunkami, nadając tym ostatnim szczególnie dosadną treść. Rysunek Zillego stoi na pograniczu rodzajowości i satyry. Przesadna, często aż pikantna charakterystyka postaci doprowadza do swoistej karykatury, w której znajduje ujęcie zgryźliwa ironia i smutek. Bo prace Zillego są smutne, bardzo smutne.

Dzieci są ulubionym tematem Zillego. Jego rysunki roją się od małych, perkatych, niezgrabnych bachorków na wykrzywionych nóżkach i od chudych, białych podlotków. Zillowskie dzieci zapelniają cuchnące podwórka, wydeptane skwerki, rynsztoki, legną się w suterenach, żyją w mieszkaniach, gdzie po siedem osób zamieszkuje jedyne łóżko.

W wędrówkach swych po mieście zaglądał Zille do nędznych mieszkań, był stałym bywalcem knajp i spelunek, zapuszczał się na plażę. Tam powstawały rysunki-dokumenty, migawki, uchwycone na gorąco sytuacje, typy.

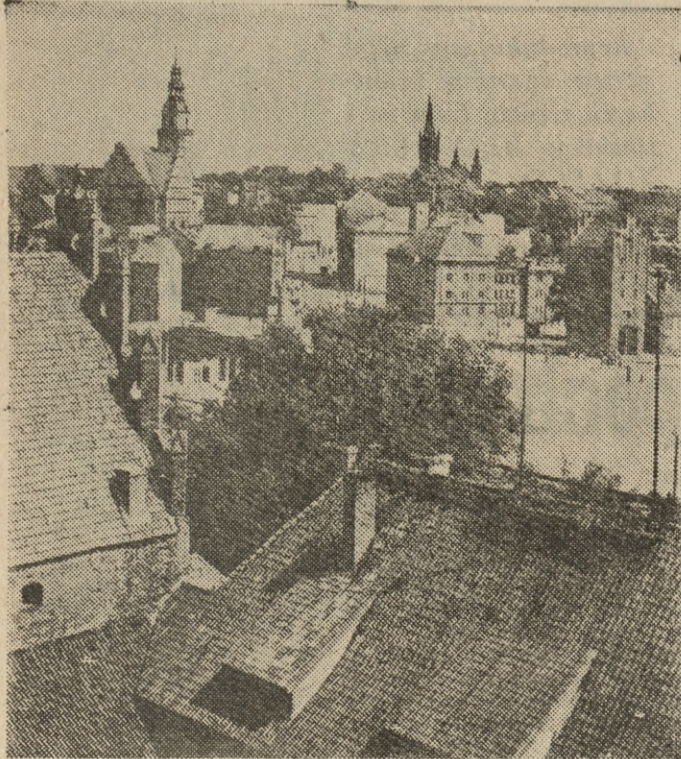
Nie tylko nędzę widział i uwieczniał w swoich rysunkach Heinrich Zille. Potrafił dostrzec i momenty radosne w życiu prostych ludzi, scenki humo-

rystyczne, groteskowe. Miłe są „Towarzyski zabawy”, trzy dziarskie dziewczynki, obejmujące się wpół, idące różnym krokiem. Pełne komizmu są sceny z plaży czy niedzielnych wycieczek za miasto. Święte są postaci dwóch mężczyzn, łowiących ryby w szarugę.

Zille nie gardził też tematami zaczerpniętymi z życia berlińskiego drobniomieszczaństwa. A to już była zupełna satyra. Artystę mierzył ten pełen pretensji świat drobnych „burgeois”, ich zakłamana moralność i obyczaje, tandetny przepych ich mieszkań. Kpił więc bez litości z grubych mieszczek, eleganckich panów i pseudowitwornych panów. Na jednym z rysunków liczna rodzinka bierze udział w wyprawieniu dziewczynki na letnie kolonie. Gdzieś indziej, na pluszowej kanapie, czuli się do siebie tustą, dobrze niemłoda już para. Złosiwy jest też wizerunek zasuszonego staruszka, niezgrabnie usiłującego wysadzić wnuczka na nocnik.

Twórczość Heinricha Zille jest bardzo bogata. Jego puścizna, licząca się w tysiącach rysunków, stanowi obok puścizny wielkiej Käthe Kollwitz jeden z najważniejszych skarbow kultury Niemiec w ciągu ostatniego wieku. Umierając w r. 1929, pracowity artysta pozostawił prawdziwszy i bardziej sugestywny od wszelkich fotografii i danych statystycznych obraz Berlina z dnia przedwczorajszego.

Treściową i artystyczną wartość jego dorobku ocenia w całej pełni Niemiecka Republika Demokratyczna, w której w ostatnich latach ukazał się szereg monograficznych opracowań twórczości H. Zillego. Czy nie warto by którąś z tych książek wydać w tłumaczeniu polskim?



Widok ogólny Olsztyna
CAF — fot. Baranowski

Korespondencja z Olsztyna

To wcale nie jest takie proste bronić przed zagładą lasu. I wcale, przynajmniej na pozór, nie jest takie proste znaleźć analogię pomiędzy obroną drzewostanu a istnieniem fabryki płyt spłasnionych w Nidzie koło Rucianego. A jednak, gdy pozna się genezę powstania tej fabryki, najważniejszego obiektu sześciolatki w woj. olsztyńskim, gdy zrozumie się, czym jest ta fabryka dla całego kraju, a szczególnie dla tysięcy Warmiaków i Mazurów, mieszkańców okolicznych wsi i osiedli — analogia ta będzie niewątpliwie zupełnie jasna.

Zdajemy sobie dobrze sprawę z faktu, że kraj nasz nie jest specjalnie bogaty w lasy. Stąd też, pośrednio, nie zawsze używamy takich plonów, jakie nasza urodzajna, ale nieregularnie zaopatrywana w wilgoć gleba mogłaby dawać. A że las, to „baza” i regulator wilgotności, więc w trosce o przyszłe urodzaje trzeba go bronić, oszczędzać. Wykorzystując więc wszelkie możliwe źródła surowców

NIDA BRONI LASU

zastępczych, powinniśmy do niezbędnego minimum ograniczyć wyrąb drzewa. I tu wylania się potrzeba tworzenia takich fabryk, jak w Nidzie.

Przy obecnym zapotrzebowaniu zdolność produkcyjna naszych lasów wyczerpałaby się w stosunkowo krótkim czasie, powiedzmy w okresie kilku dziesięciu lat. A potem trzeba by czekać na „dorodnięcie” nowych sadzonek, co trwałoby nie wątpliwie również co najmniej kilkadziesiąt lat.

To może w zbyt uproszczonej formie przedstawione rozumowanie zmusiło naukę do aktywnych poszukiwań i wynaleźnia surowca zastępczego, który w wielu wypadkach, szczególnie w budownictwie i produkcji sprzętów gospodarstwa domowego, z powodzeniem eliminuje potrzebę stosowania drzewa. Surowcem tym są poddrzewne odpady (igłowie), zrżyny, ścinki, ściółka, odpady tartaczne, stolarskie itp. Rozwloknięte, zwilżone, a następnie

pod ciśnieniem sprasowane odpady dają materiał, zwany płytami spłasnionymi. Zastosowanie ich? Meble, domy całe i ich części, nawet wagony kolejowe.

Produkcja płyt spłasnionych, to jest właśnie zadanie Nidy. Zadanie kilkuset ludzi, którzy dziś, w siedem tygodni po uruchomieniu najważniejszego działu produkcji, dają dziennie około 8 km spłasnionej masy. Dzięki fabryce w Nidzie stopniowo, krok za krokiem, płyty spłasnione będą mogły w pełni wyeliminować drzewo z wielu gałęzi produkcji przemysłowej i budownictwa.

ZE WSI — MIASTO

Inż. Eberlein z olsztyńskiego Zjednoczenia Budownictwa Przemysłowego może słusznie uważać się za chodzącą encyklopedię fabryki. Jest tu od samego początku, to znaczy od chwili, gdy wiano do wykupu pierwszą partię cementu pod ławę fundamentową. Widział, jak dzień po dniu zmieniało się oblicze starej mazurskiej wioski Nidy, widział, jak dzień po dniu, metr po metrze, rosły w górę mury kombinatu. Kierował budową aż do 5 listopada ub. roku, kiedy to w obecności ministra przemysłu drzewnego i papierniczego uruchomiono produkcję płyt twardych. Budował fabrykę, przyjmował i instalował jej urządzenia, werbował, instruował ludzi i wreszcie zrehabilitował historyczny melunek do Warszawy: „Nida gotowa do rozruchu”. To był sygnał do startu. A następnego dnia nad puszcza piską zawisł pióropusz kłębiastego dymu.

Już teraz istnieje tam 6 bloków mieszkalnych i budynków administracyjnych. W przyszłym roku przybędzie jeszcze 5 bloków, żłobek, przedszkole i kino. W ostatnim roku planu 5-letniego budowa Nidy będzie ukończona. Na mapie kraju pojawi się nowy punkt z napisem „NIDA”, a w spisie miast polskich nowa wzmianka: Nida, miasto w woj. olsztyńskim, 5000 mieszkańców.

To będzie za pięć lat. A dziś? NIE GRZYBY, ALE PŁYTY. Dziś, w jednym z wybudowanych i oddanych do użytku bloków, w dwuizbowym mieszkanku na pierwszym piętrze krząta się przy kuchni Truda Jeromin.

Wszedłem pod wieczór do jej mieszkania. Pani Truda szkoła jakąś „przegrzka”, ja siadłem skromnie na stołku i zaczęliśmy rozmawiać. O tym, co było i nie wróci, i o tym, co jest lub będzie.

Do 1945 r. większość starych mieszkańców wsi Nida żyła się i utrzymywała właśnie z puszczy. Puszcza dawała grzyby i jagody, które można było sprzedać za nędzne fenigi w Rucianem czy Pieszku i kupić za nie chleba. Puszcza dawała gałęzie i igłowie (te same, z których dziś produkują się płyty), służące do ogrzewania nędżnych, półwałkowych chat oraz do zatykania otworów w ścianach i drzwiach. Puszcza, jedynie puszcza dawała możność pracę przy karzunku starych pni.

Wszystcy mieszkańcy Nidy, a z nimi i Truda, kochali puszcę i szanowali ją, jak obiekt najbardziej tego szacunku i miłości godny. Wszyscy też z niepokojem i bólem patrzyli na systematyczną dewastację drzewostanu, na wyrąb najstarszych dębów, stuletnich sosn, na to, jak w 1934 r. z rozkazu Goeringa wysadzono w powietrze kilkanaście hektarów najpiękniejszych drzew, przygotowując miejsce pod jego przyszłą kwaterę.

Truda Jeromin była jedną z pierwszych mieszkanki Nidy, które stanęły do pracy przy budowie fabryki i osiedla mieszkaniowego. Po zakończeniu budowy części produkcyjnej wiele z nich wespół z mężami i braćmi zgłosiło się na kurs i potem zajęło miejsca przy maszynach i silnikach. Czyż można się dziwić, że tak, jak dawniej puszcę, kochają dziś ludzi z Nidy swoją fabrykę? Fabryka broni przecież istnienia puszczy.

Truda Jeromin była jedną z pierwszych mieszkanki Nidy, które stanęły do pracy przy budowie fabryki i osiedla mieszkaniowego. Po zakończeniu budowy części produkcyjnej wiele z nich wespół z mężami i braćmi zgłosiło się na kurs i potem zajęło miejsca przy maszynach i silnikach. Czyż można się dziwić, że tak, jak dawniej puszcę, kochają dziś ludzi z Nidy swoją fabrykę? Fabryka broni przecież istnienia puszczy.

Truda Jeromin była jedną z pierwszych mieszkanki Nidy, które stanęły do pracy przy budowie fabryki i osiedla mieszkaniowego. Po zakończeniu budowy części produkcyjnej wiele z nich wespół z mężami i braćmi zgłosiło się na kurs i potem zajęło miejsca przy maszynach i silnikach. Czyż można się dziwić, że tak, jak dawniej puszcę, kochają dziś ludzi z Nidy swoją fabrykę? Fabryka broni przecież istnienia puszczy.

ANDRZEJ LEMPICKI

Czy znamy samych siebie?

(Dokończenie ze str. 1)

nych, jedenaście tysięcy głosów na komunistycznego kandydata w 1928 roku, to również trochę historii, o czym publicyści nie wolno zapominać, jeśli już o tradycjach Poznańskiego pisze.

Poznaniacy wcale nie byli tak uległymi, pokornymi, poddającymi się uciskowi, jak sobie to wielu wyobraża. Mniej w ich charakterze fanfaronady, szarży z szabłami na czołgi, a więcej trzeźwego spojrzenia na fakty — to prawda, lecz takie cechy charakteru są przydatne, nawet pilnie potrzebne.

Ma jednak rację Andrzej Wróblewski, że nie potrafiliśmy w ostatnich epokach wytworzyć własnej, postępowej inteligencji, która by uprawiała twórczość artystyczną właśnie w oparciu o tradycję. Nie przywiązujemy do tych tradycji wagi. Reklamujemy naszą „solidność” a nie przedstawiamy naszego wkładu do walk wyzwolenieczych przeszłości. Mało, i dziś nikt o to nie dba. Czasem tylko Eugeniusz Paukuszta pisze na łamach „Expressu Poznańskiego”, odnotowując „poznanskie pozycje literackie”. Rzecz jednak polega nie na tym, by Poznań był „pretekstem umniejszenia akcji” w utworze fabularnym czy dramatycznym, lub by jego akcja rozgrywała się gdzieś w bardzo zamierzalnej przeszłości. Nam trzeba ukazywać wale niebrydki tradycji najnowszych, właśnie z tego wieku XIX, którego rzekomo „nie przeżyliśmy”, z początków wieku XX i lat międzywojennych. W tym bowiem okresie burzawista legenda najwięcej nabroiła, zostawiając nie ciekawy spadek prymitywnych sądów o przeszłości i tradycjach Wielkopolski. Tymczasem epoki te są bardzo ciekawe, pasjonujące.

W roku 1954 Prezydium WRN zorganizowało konkurs. Pięknie. Podobno wszystkie nagrodzone prace ukazały się drukami; część już się ukazała. Pięknie. Ale co teraz? Jak zamierza wydział kultury, czy Komisja Kultury WRN nadal popierać twórczość dotyczącą tradycji naszego regionu? Czy odpowiedzialni za ten odcinek życia społecznego działacze nie powinni się zastanowić, że jeśli w tej chwili postanowią o jakimś środku ekonomicznej zachęty, który podzieli na kilku chociażby twórców — malarzy, literatów czy muzyków — efekty przyjdą na jaw wcześniej za półtora do dwu lat?

Nie rzucam tutaj jakiegś skonkretyzowanego propozycji. Wydaje mi się jednak, że forma konkursu nie jest najszybszą. Zbyt wiele w niej przypadkowości. Słuszniejszym byłoby udzielanie stypendiów na określony typ pracy. Grzebanie w gąszczu faktów historycznych, nie opracowanych jeszcze przez naukowców w żadnym syntetycznym dziele — jest bardzo trudnym zadaniem, o dużym współczynniku ryzyka. Bez zapewnienia np. literatom środków na pokrycie niedoborów domowego budżetu, które powstaną w czasie zbierania faktograficznych szczegółów po archiwach — nikt w przeszłość nurkować nie będzie. Tylko od czasu do czasu ten i ów „wychyli się”. Zamiłowania. Z pasji wewnętrznej, ale na żywiołowość liczyć nie wolno. Hamowane względami ekonomicznymi wale chcą twórcze — trzeba mocno podeprzeć.

Nie będą to zmarnowane pieniądze. Większość poznaniaków nie zna własnych tradycji; zna je najwyższe z ustnego podania, które bywa niesłychanie bałamutne. Dlatego nie gniewajmy się na Andrzeja Wróblewskiego, który poza tym w swym raporcie, artykule czy recenzji (mniejsza o szufladkę dla utworu!) wyprowadził rzeczowe i bardzo słuszne propozycje, pokrywające się zresztą ze stanowiskiem KW PZPR, wyrażonym w referacie i sekretarza — L. Stasiaka. Ta jedynomyślna diagnoza i zalecenie leczniczych może nas cieszyć.

Jacek MILCZEWSKI

Zwodnicza powierzchność

W małym miasteczku amerykańskim poproszono przejeżdżającego księdza o uroczyste otwarcie bazaru dobroczynnego. Po zakończeniu ceremonii ksiądz obszedł bazar i z przerażeniem zobaczył ekscentrycznie ubrane młode dziewczęta.

— Jak to nieprzyzwoicie! — powiedział ksiądz do sąsiada. — Kto to tam jest z papierosem w zębach, z krótko ostrzyżonymi włosami i w obcisłych spodniach — chłopiec czy dziewczyna?

— Oczywiście, dziewczyna — odpowiedział sąsiad — to moja córka.

— Och, przepraszam pana! — ksiądz zaczął sumiennie się pospieszać. — Nigdy nie przypuszczałbym, że pan jest jej ojcem.

— Ja nie jestem jej ojcem — brzmiała odpowiedź. — Jestem jej matką.

Czesław Michniak

UCIECZKA

Opowiadanie

— Zaraz, zaraz — chrząknął głos w telefonie.

— No, więc, widzicie, że przyjdzie — powiedział uspokajająco towarzysz z rady zakładowej, młody mężczyzna w kaszkiecie i ciemnym prochowcu, zarzuconym na ramiona. Jego szczupła twarz rozjaśniła się uśmiechem zadowolenia. Ten nastrój udzielił się również dziennikarzowi. Odetchnął z ulgą, usiadł na ławie przy stole prezydijskim.

Za oknami majaczyły masy fabryki, szary, spukany deszczkiem, padającym bez przerwy z ponurego, grudniowego nieba.

Redaktor czekał tu od kwadransu na wybitnego przodownika pracy Wiktora S., który jeszcze w jesieni 1953 roku — dokładnej daty redaktor nie pamiętał — zrealizował plan sześciolatki.

Wchodząc do fabryki dziennikarz zauważył wielki portret przodownika, zawieszony w gablocie, pomalowany na wiśniowo. Ze zdjęcia spoglądała owalna, dobronudna twarz nie starego mężczyzny.

Spojrzał na zegarek. Docho dziko południe. Czasu miał niewiele. Spieszyło mu się, gdyż jeszcze dziś czekały go odwiedziny w jednym z zakładów pracy, potem zaś konferencja w Prezydium WRN, potem...

Nadeszła jeszcze towarzysza z komitetu zakładowego partii. Pogawędka nabrała rumieńców, ożywiła się, może i dlatego, że towarzysza miała jasne, ładnie zaondulowane włosy i miły, życzliwy uśmiech.

Zbliżała się pora obiadowa. Wiktor jednak nie nadchodził. Redaktor dał wyraz niezadowoleniu i zdenerwowaniu, pytając dwukrotnie swoich rozmówców o dokładny czas.

— Spiesz mi się — powiedział.

— Powiem wam kilka szczegółów o nim — powiedział towarzysz z rady zakładowej. — Ma 37 lat, średniego wzrostu...

Redaktor kiwnął głową, te dane były mu znane.

— Mieszka z rodziną w Krzesinach, w drewnianym domku przy stacji kolejowej. Ot, dziś nawet skarżył się, że nawalili ich wodociągi, kanalizacja czy coś podobnego. Cóż dalej? Żonaty, ma dzieci, teściową. Od czasu do czasu kino, wieczny mecz. Cześć nogą wpięzł, piwo. Picie nie pije... — ciągnął towarzysz z rady zakładowej, spoglądając na towarzyszkę z komitetu zakładowego.

Redaktor notował świeżo zatemperowanym ołówkiem.

— Taaak, — rzekła rozmówczyni z prawej strony. — Przy warstwie to on się wyrobił. Przecież rozpoczął jako niewykwalifikowany. Przed tym był fadowaczem w stożni na Warcie. Lotny, zdolny i do tego ma no... żyłkę. Ciągnie go robota. Pali mu się w rękach. O święcie zapomina, edy wulkanizuje te opony. Biega jak opętany od prasy do prasy. Tych pras jest siedem.

— Przejmuje się? — zapytał dziennikarz.

— Właśnie — zgodził się towarzysz z rady zakładowej. Redaktor notował.

— A jego jak nie ma tak nie ma — przypomniał sobie o wywiadzie prasowym i zegarku, który tykał uparcie na przegubie ręki.

— Dowiem się, co się z nim dzieje — powiedziała towarzysza z komitetu, chwytając za słuchawkę. Potrząsnęła jasną czupryną.

— Halo. Z towarzyszem Wiktorem. Tak... tak. Proście, towarzyszo. Jedną chwilę. Nie może? Jakto? Nie, nie żona. Teściowa też nie. Powiedźcie, że z komitetu. Partia.

— No... — odezwała się blondynka. Odsunęła słuchawkę, tak mocno ten ktoś krzyknął na końcu drutu.

Później redaktor dosłyszał znajomy głos. Blondynka kiwnęła głową, przytakując. Wiktor ciągle jeszcze wołał, chrząknął, ale teraz dziennikarz już nie rozumiał, bo pod oknem przedelfował traktor.

— On jest dziś zły — powiedziała towarzysza z komitetu.

— Zły, jak to? — redaktor nie nie rozumiał.

— On jest zły — powtórzyła zmęczonym głosem, poprawiając sobie grzebyk we włosach. — Wymieniam ją mu „presy” w czasie pracy i dlatego jest zły. Wiktor normalnie pracuje na 7 presach, a dziś ma do dyspozycji tylko 5. Na skutek tej wymiany wykona dziś 160 opon mniej. Oczywiście bije go to po kieszeni. Normalnie wykonuje 500 sztuk.

A więc wywiad jakoś się nie klei. Wyraźny pech. A może jesienna pogoda wpłynęła na Wiktora tak wojowniczo? W każdym razie zachowanie się przodownika uosobiło redaktora pesymistycznie.

— Wiktor ma przed sobą perspektywę wzrostu — twierdziła towarzysza z komitetu. — Czy zawsze jednak się to opłaca? Teraz więcej przecież zarobi od brygadzysty, a zmianowy...

— Zadzwońcie jeszcze raz — przerwał redaktor dość zdenerwowany. Poruszył się gwałtownie na krześle. — Albo, poczekajcie, może ja będę miał szczęście.

Wstał energicznie. Wziął w rękę czarną, lśniącą słuchawkę. Nakreślił numer.

— Wiktor? Zaraz — powiedział kobiecy cieniły głos. — Poszukam go. Kroki oddalały się wśród turkotu maszyn. Za chwilę w słuchawce rozległy się trzaski.

Mimo to dziennikarz odróżnił szybkie kroki, zbliżające się do aparatu.

— No i co? — zapytał burkliwie męski głos.

— Czy towarzysz Wiktor?

— Tok, no bo co? Redaktor przedstawił się, wymieniając imię i nazwisko oraz nazwę poczytnego pisma, w którym pracował od 10 lat.

— Ach, to wy? — usłyszał w odpowiedzi. Głos zamilkł, widocznym Wiktor namyślał się.

— No i co? — spytał niecierpliwiony głos.

— Czekamy na was — powiedział redaktor, usiłując nadać swemu tenorowi jak najprzejmenniejsze brzmienie.

— Tylko kilka słów, towarzyszu, 10 minutek, z ręką na sercu.

— Zaraz kończę — zachrypnął głos — po fajerancie — trzępnał słuchawkę o widełki. Rozległ się długi sygnał: buuuu.

— Przyjdzie po pracy — powiedział redaktor dość zadowolony.

— Za jakąś godzinę — rzekł towarzysz z rady zakładowej.

Towarzyszka z komitetu partii nakreśliła zegarek, po czym wszyscy troje zaczęli dyskutować na temat sukcesów metody, która polegała na jak najlepszym zorganizowaniu sobie pracy.

— Właśnie Wiktor daje przykład, jak wiele znaczy spryt, inwencja. Ekonomia ruchów, oto tajemnica jego osiągnięć. Gimnastyka, która uprawia w klubie sportowym, też ma coś do powiedzenia. Jest zwinny jak kot i zreczny — powiedziała towarzysza z komitetu.

Redaktor notował.

— No i świadomość...

— Świadomość, bardzo słusznie — zgodził się redaktor — bez podbudowy ideologicznej nie dojdzie się do żadnych rezultatów na odcinku produkcji — wyrecytował.

Musieli jeszcze czekać ze trzy kwadranse. Gdy wyczerpał temat rozmowy, którym był Wiktor, jego praca i krzywa wykonania planu, słuchali trochę radia, nadającego właśnie audycję-reportaży dźwiękowy z fabryki. Potem milczeli w trójkę, wpatrując się w komin fabryczny, nad którym unosił się niechętnie buri dym. Nogi robotników i pracowników umysłowych, przechodzących dziedziniec, mieszały czarne, zaprawione miazem węglowym, błoto.

Punktualnie o 14 ryknęła basem syrena. Z hał fabrycznych jakby sygnął makiem szarych i granatowych kombinizonów. Tu i ówdzie kolorowe chusteczki kobiet przetykały to jednostajne tło.

— Idzie, idzie. Widzicie? — powiedział z triumfem towarzysz z rady zakładowej.

Rzeczywiście wychodził teraz z hał. O dziwo, twarz miał zupełnie niepodobną do tej, w gablotce. Była zła, naburmuszona. Szedł bokiem, jakby z pewnym wysiłkiem. Co chwila

oglądał się za siebie, to znów wpatrywał się z pewnym zastanowieniem w okno, za którym czekał na niego przedstawiciel prasy.

— Idzie — westchnął z ulgą redaktor.

— Idzie — powiedziała blondynka.

— Bezpartyjny, ale solidny i bojowy. Trzeba, by... — mówił towarzysz z rady zakładowej.

Tymczasem on, minawszy stołówkę, przesunął się teraz bardzo szybko wzdłuż plotu w stronę budynekku przyłączającego z jednej strony do żelaznej bramy, przy której stali strażnicy.

— Dokąd on idzie? — zapytał niespokojnie redaktor.

— Zapomniał, czy co u diabła? — powiedziała towarzysza z komitetu.

— Nic nie rozumiem — rzekł towarzysz z rady zakładowej.

Blondynka i młody człowiek wymienili znacząco spojrzenia.

— Wiktor już nie przyjdzie — powiedziała nagle towarzysza z komitetu zakładowego. — Poszedł do domu.

Towarzysz z rady zakładowej milczał.

— Już nie przyjdzie — powiedział redaktor. Zrobiło mu się nieprzyjemnie.

Przodownik pracy znikł już za bramą, szedł teraz krętą dróżką na przełaj przez pole zasiane żużlem, ku wozowi tramwajowemu, który czerwieniał jaskrawo na tle szarego nieba, pół i ludzi zebranych na przystanku. Deszczyc ciągle padał.

Redaktor przypomniał sobie wtedy, że był autorem pewnego reportażyku drukowanego w poczytnej gazecie. Twarde, chropowate, nawet nieprzyjemne słowa Wiktora zastąpił sztucznie promiennym uśmiechem i kilkoma krągłymi zdaniem, których on nie powiedział, a które kończyły się truizmami i wykrzyknikiem.

Przypomniał sobie natrętne ruchy fotografa, dopominającego się prawie ze złością: „Czemu się nie śmiejecie, towarzyszu Wiktorze? Śmiejecie się u diabła!”



Rys. L. Kapezyński

Matematyka brydża i sali balowej

Popularizator angielskiego Lan- celot Hogben w swej pe- nej błyskotliwego humoru i ta- lentu książce „Matematyka dla milionów” opowiada zajmującą anegdotę o wybitnym encyklo- pedystę, Diderocie. Jako re- prezentatywny umysł Oświece- nia, Diderot rzucił posiew pod rewolucję francuską. Koleje ży- cia zawiadyły go też na dwór- carycy rosyjskiej. Wolnomyślni- łość, oświeceniowa inteligencja i wrodzony zmysł humoru jed- nali mu zastępy entuzjastów na dworze, trzeba to stwierdzić, nie tylko wśród kobiet. Caryca zaniepokoiła się poważnie, by fascynujący gość nie zaraził jej otoczenia niebezpiecznymi „no- winkami” z Zachodu. Postano- wiła dać Diderotowi „lekcję” umiaru. Jak pod ręką miała na dworze najwybitniejszego ma- tematyka tych czasów, Szwaj- cara Eulera. „Lekcja” miała przebieg krótki. Euler, wobec całego dworu, zwrócił się do Diderota z następującą kwe- stią:

„Ponieważ $a + b/n = x$, więc

n

Bóg istnieje, co pan na to?”

Diderot, zdetonowany wy- strzałem z kolubryny matema- tycznej, na której kalibrze zgło- siła się nie znał, stracił rezon i nie zdobył się na równie do- wcipny rykoszet. Sala zatrzęsała się od śmiechu, Diderot zamknął się w swym apartamencie i za- żądał powrotnego paszportu do Francji...

Porażka Diderota jest sympto- matyczna. Z „zabójczego” wzoru, jaki z kieszeni wygarnął podstępnie Euler, wynikało co najwyżej, że istnieje pewna liczba x . Diderot stracił się, zapomniawszy myśleć deduk- cyjnie, a więc w sposób, w któ- rym z przesłanek wynika wnio- sek. Stracił się po wtóre, uległ- szy naciskowi matematycznego kompleksu niższości, który, jak widać, nie oszczędza często i ludzi genialnych na innym polu. W naszym opowiadaniu chce- my przemycić dzisiaj tok dedukcyjnego myślenia i zreha- bilitować „Diderotów”, ryżową szcztoką usuwając kompleks

OKIENKO na ZACHÓD

SPECJALIŚCI

W amerykańskim mieście Dallas (Stan Texas) odbywało się niedawno doroczne zebra- nie miejscowego stowarzysze- nia elektrotechników. Gdy je- den z mówców referował osią- gnięcia i wysoki poziom przy- gotowania zawodowego człon- ków, nagle na jego pulpiek zgąsło światło. Najlepsi zabra- li się natychmiast do napra- wy. Przeszukali wszystkie prze- wody, połączenia, kontakty, rozmontowali lampę, wreszcie także pulpit. Nie znaleźli jed- nak przyczyny braku światła. W końcu portier owej sali, któ- ry przypatrywał się tej całej zabawie ustalił, że w lampie przepaliła się... żarówka!

WYBRAŁ... WIĘZNIENIE!

Niejaki Frédéric Lebrun, Francuz z pochodzenia, przez okragłe dwa lata cieszył się całkiem niezastępowalną wolno- ścią, kiedy to udało mu się u- cieść z więzienia w Besancon, dopóki skierowano go na długo letni przymusowy pobyt. Le- brun żył więc na wolności, ur- ządził się nawet całkiem do- brze, pracował uczciwie a na domiar jeszcze przyholubił so- bie piękne dziewczę. Wiekie jednak zapanowało zdziwienie, gdy Lebrun zameldował się po pewnego dnia u policji, pro- sząc o powtórne zapewnienie mu kwaterek w Besancon. Długo pytano go o powód do- browolnego zgłoszenia się, aż wreszcie Lebrun przyznał się, że właśnie wówczas dała jego sympatia na... zapowiedzi!

SUROWY PRZEPIS

Sądząc po zarządzeniu, kó- re wydały władze miejskie Ko- penhagi, Duńczycy należą do niegorszych purytanów, szcze- gólnie w dziedzinie przepisów dotyczących osób przebywają- cych na placach publicznych. Mianowicie odąd w strojach kąpielowych wolno się tylko całować małżeństwom; wszy- scy natomiast inni winni się przedtem ubrać. Pomyśleć, ty- le kłopotu o takie głupstwo! Jot

Teorie ciekawostek matematycznych napisał: dr Wł. Krzyżaniak

„niezrozumiałości” języka ma- tematyki z ich świadomości.

LOS, CZWARTEGO DO BRYDŻA

Autor artykułu miał pecha, że przez cztery lata z okładem był w pewnym towarzystwie tym „nieszczęsnym” „czwartym do brydża”, bez którego nie można rozegrać robra. Kurtua- zja nie pozwalała odmówić, cho- ciaż wolałoby się — popatrzeć w błękit, trzeba było płacić to- warzyski haracz Culbertsono- wi, który do tej, niegłupiej zresz- tą, gry, w pękatomie tonie do- robił całą „teorię” rozgrywek.

Towarzystwo: A, B, C, D już zasiadło, przygotowana sterta papierosów przeraża mnie wi- zją chmury dymu, która tu z nich powstanie. „Miły Boże” — myślę sobie — „los każe mi się teraz odegrać jak... Euler”. Do- powiadam więc głośno:

„Ponieważ jest nas czterech graczy oraz 52 karty, więc będę musiał liczyć się na dzie- siejszy wieczór z 24 robrami, a ponieważ dalej moje szanse wyciągnięcia naraz czterech asów wynoszą: 1 przeciw 270.724, więc gra w brydża jest samobójstwem. Co wy na to?”

Moi trzej „Dideroci” złożyli rozdane już karty.

— Skąd to wiesz?

— Obliczyłem w głowie — rzucam niedbale, cieszę się, że „połknęli haczyk” i że jeden przynajmniej rober ucieknie. — Popatrzcie, wpierw zagadnienie ilości rozsiadek partnerów:

ABCD BACD CABD DABC
ABDC BADC CADB DCAB
ACBD BCAD CBAD DBAC
ACDB BCDA CBDA DBCA
ADBC BDAC CDAB DCAB
ADCB BDCA CDBA DCBA

Jeżeli to krzesło uznamy za pierwsze, to przede wszystkim może je zająć każdy z nas cze- rech, tak więc mamy już per- spektywę 4 robów. Ale licząc w prawo od tego krzesła, może krzesło drugie kolejne zajmo- wać każdy z trzech pozostałych, tak że liczba robów wzrośnie do 4 razy 3. Krzesło trzecie ko- lejne może zająć jeden z dwóch pozostałych i liczba ro- bów wzrasta do 4 razy 3 razy 2. Pozostałe czwarte ko- lejne krzesło może zająć każ- dą tylko jeden. Wobec liczba ro- bów uwzględniająca wszyst- kie uporządkowania, czyli „per- mutacje” graczy, wyniesie ma- tematyczną „silnię” liczby 4, która, jak widzicie, łatwo ob- licza się takim „algorytmem”: 4-silnia = $1 \times 2 \times 3 \times 4 = 24$.

Przy pomocy rozumowania matematycznego, zwanego in-

dukacją zupełną, dowodzi się, że dla „elementów” liczba wszy- stkich ich przemian wyraża się n-silnią, zapisywaną dowcip- nie wykrzyknikiem za literą n, po prostu tak: n! Oto zajmu- jąca drabina silni, po której szybko dochodzi się do liczb ol- brzymów:

1!	=	1
2!	=	2
3!	=	6
4!	=	24
5!	=	120
6!	=	720
7!	=	5040
8!	=	40320
9!	=	362880
10!	=	3628800

Pomyślcie, co za szczęście w nieszczęściu, że brydża nie roz- grywa się w dziesiątkę...

— Wiesz, to jest fantastycz- ne, a jednak przekonujące! Wynikałoby z rachunku silni, że kładąc pasjansa 52 kartami, należałoby oczekiwać liczby u- porządkowań kart jako 52- silni?

— Oczywiście. Zdradzę wam nawet, że liczba ta zaczyna się od 80, ale po niej jest jeszcze dalszych... 66 cyfr*. Gdyby tę liczbę podać w kilometrach, by- łaby to droga, jaką promień światła (a wiecie, że dzierży on światowy „rekord prędkości”: 7 i pół raza dokoła ziemi w cią- gu sekundy) przebyłby dopiero po upływie około 85 i... 53 zer lat — cyfra superastronomicz- na. Może jednak wspólnie ob- liczymy tę liczbę, a przez to wylecimy ludzi z manii pa- sjansów?

— O, nie, za to ci już pięk- nie dziękujemy i wierzymy na słowo! Wylegitymuj się jesz- cze raczej z twojego rachunku szans wyciągnięcia naraz cze- rech asów, co jest nie bez ko- zery przy licytowaniu „bez atu”.

SZANSE „DUŻEGO SZLE- MA” Z RĘKI

— Nic prostszego, tylko do- brze uważajcie! Oczywiście, po- łączenie czyli kombinacja cze- rech asów jest kombinacją szczególną, jedną z wielu możli- wych wszystkich kombinacji „czwórek”, wybranych z 52 kart. Policzmy wpierw kombi- nacje „dwójkami”. Należałoby każdą z 52 kart próbować po- łączyć z poszczególnymi z pozo- stałych każdorazowo 51 kart, dzieląc jeszcze wynik przez 2,

*) Autor tej liczby nie ujawnia, bo Redakcja ma węża w kieszeni i za ten możolny rachunek nie do- łoży ani złotówki w honorarium. (W-K)

Od Redakcji: Odkąd to się na- zywa „waż”?

aby np. „dwójki” „as pik”, as kier” nie brać za odmienną od „dwójki” „as kier, as pik”. Otrzymałobyśmy wzorek 52×51

2

kombinacji kart „dwójkami”. Euler, cytowany w naszej ane- gdocie, zaproponował to zapisy- wać takim wytwornym symbo- lem: 52 , czytany jako „52

2

nad 2” kombinacji „dwójek”. Rozszerzając rachunek kombi- nacji już na „trójki”, należało- by każdą z utworzonych już „dwójek” próbować łączyć z po- szczególnymi z pozostałych każ- dorazowo 50 kart, ale wynik dzieląc znów przez 3, aby np.

„trójki” „as pik, as kier, as

karo” traktować jako taką samą bez względu na to, w ja- kiej kolejności przychodzą nam asy do ręki. Wypadłby wzorek: $52 \times 51 \times 50$, czyli po eulerowsku $1 \times 2 \times 3$

(52) Dochodząc wreszcie do kombinacji „czwórkami”, otrzy- malibyśmy analogicznie (a owo „analogicznie” dobrze uzasad- nione jest właśnie triumfem ma- tematycznej dedukcji) wzorek:

$52 \times 51 \times 50 \times 49$, czyli 52 co

$1 \times 2 \times 3 \times 4$

wynosi 270.725 kombinacji „czwórkami”. — Kombinacja „czwórkami” samych asów byłaby oczywiście jedną z możliwych wszystkich 270.725 kombinacji „czwórkami”, więc jak powie- działem, moje szanse wyciąg- nienia tu naraz czterech asów wynoszą 1 przeciw 270.724, czyli są znikome... Obliczcie szanse szlema z ręki!

KOMBINATORYKA SALI BALOWEJ

Zresztą podam Wam inny przykład już nie z dziedziny „brydżowej” kombinatoryki.

Gdyby na balu sylwestrowym, na którym zebrało się, jak w auli naszego uniwersytetu — 1000 osób, każda z osób miała zawrzeć znajomość z każdą, to wybierając „dwójki” z tysiąca

mielibyśmy

$1000 \times 999 = 499.500$

— 1000

ukłonów (!) wzajemnych i dla- tego niektórzy przekładają ba- le mniej licznie...

Biolodzy szacują, że w móz- gu ludzkim jest 3 miliardy włókien nerwowych. Czyż więc nie szkoda ich nadwierać ca- łymi wspomnianą 88-cyfrową liczbą pasjansowych permutacji i po- nad ćwierćmilionową liczbą brydżowych kombinacji „czwó- rkami”? Przynajmniej wartość matematycznej rozrywki!



Tak wyglądał Arkady Fiedler przed laty... wtedy właśnie gdy robiono to zdjęcie, pisał uroczą książkę o Madaga- skarze.

OD RADZIECKIEGO „PIONIERA” DO „VOLK UND WELT”

Gdy wydawany w Moskwie „Pionier” wydrukował ob- szerny fragment z „Rio de Oro” — zaczęła się duża po- pularność Arkadego Fiedlera, zwłaszcza wśród radzieckiej młodzieży. Tłumacz wielu po- lskich książek, Niemczyński, w liście do Fiedlera pisze, że spodziewa się konieczności wydania książki naszego pi- sarza, gdyż rezonans po pierw- szej publikacji okazał się bar- dzo rozległy. Należy żałować — pisze Niemczyński — że Wasze książki nie zostały do- tąd udostępnione człowiekowi radzieckiemu.

Szczególną popularnością cie- szy się Arkady Fiedler w NRD. Już kiedyś pisała Maria Dąbrowska w „Życiu Warsza- wy” o swym pobycie w NRD wraz z innymi naszymi pi- sarzami: w trakcie rozdawania autografów Dąbrowska (któ- ra nie doczekała się dotąd tłumaczenia którejś ze swych książek) wpisywała się na pod- suwane jej książki Fiedlera. Dużo drukuje się „naszego Ar- ka” we fragmentach, zwsz- cza w tak znanych pismach, jak „Volk und Welt”, „Berliner

Zeitung” czy „Taegliche Rund- schau”. Siegrid Adam nazywa się chłopiec z podstawowej szkoły w Lampertswalde w Niemiec- kiej Republice Demokratycz- nej. Chłopak napisał do Fie- dlera pod adresem Polskiego Radia w Warszawie list, w któ- rym (w tłumaczeniu) czyta- my:

„Piszę w imieniu ponad 100 uczniów, gdy zwracam się dziś do „Polskiego Radia” z następującą prośbą. Na zebrańach pionierskich i podczas pobytu na letnich o- bozach czasowych dzieci nasze wiele słyszały o słyn- nym polskim badaczu pusz- czy, Arkadym Fiedlerze, któ- rego książki zostały częściowo tłumaczone na język nie- miecki...”

Oto piękne zadanie pisarza: nie tylko pisać interesujące książki, ale i łączyć, zakładać więzy przyjaźni między naro- dami — jakże wartościowa to praca, jakże wielkie posłannic- two.

Do domu na ulicy Słowackie- go w Puszczykowie listonosz zagląda codziennie. Nadchodzą listy z różnych stron świata. Nie można na te koresponden- cie nie odpowiadać.

Piszący te słowa otrzymał kiedyś poezje Romana Koło- nickiego „Elegie zielonoświą- teczne” z dedykacją: „... z przy- pomnieniem, że tylko Murzyni i Polacy nie odpowiadają na listy”.

„Es ist mein grosser Wunsch einmal ein Forscher zu werden” — ja wie oft habe ich das schon von meinen Lesern gehoert. Sie schreiben: „einmal zu werden”, doch Sie sind es ja schon, wenn gleich im kleinen Mass- stabe. Sie wissen doch: Frueh uebt sich, wer ein Meister werden will. Also sammeln Sie eifrig Schmet- terlinge und Kaefer. Wenn Sie mit Eifer daran gehen, werden Sie immer mehr Freude daran finden und immer neue wunderbare Ent- deckungen machen”.

Szybko się porozumieli, praw- da? Oto międzynarodowy język miłośników przyrody — dla których nie istnieją granice. Połączyła ich książka, dobra, ciekawa książka napisana bar- wnie, żywo; książka polskiego pisarza, wędrująca po świe- cie, w różnych językach.

T. H. Nowak

*) „Jest moim wielkim życze- niem stać się kiedyś bada- czem” — tak, jakże często słyszałem to już od moich czytel- ników. Pisze pan: „stać się kiedyś badaczem”, ale przecież pan nim jest, choć na razie w małym wymiarze. Zresztą wie pan przecież: wcześniej zaczy- nać ćwiczyć, kto chce zostać mi- strzem. A więc zbieraj pan skrzętnie motyle i owady. Jeśli podejdzie pan do tego z ser- cem (dowolny przykład — przyp. mój), znajdzie pan co- raz więcej radości i coraz to nowe, cudowne odkrycia.

Karol Rzemieniecki

MIEDZY PRZELOTNYMI PTAKAMI

POZNAŃSKIE

W ubiegłym roku każdy, kto wziął do ręki pro- gram ozdobiony harfą i ma- ską sceniczną — już po tych nazwiskach poznawał operę poznańską. Od roku widnieją one w programach warszaw- skich. Spotkać w nich można również Leona Wójcikow- skiego i Marię Krzyszkowską. Inne nazwiska, tak mocno związane dawniej z grodem Przemysław, przylgnęły do innych miast: Czepliówna jest w Gdańsku, Arno we Wrocławiu, Adamczewski śpie- wa w stołecznej operetce.

Aktorzy i organizatorzy ży- cia muzycznego, którzy przy- byli do Poznania w zamian za zeszłorocznych „ucieknie- rów” — niewątpliwie związali się już mocno ze środowi- skiem artystycznym i spo- łeczeństwem naszego mia- sta. A jak się czują i co porabiają ci, którzy ulicę Fre- dery w Poznaniu zamienili na Nowogrodzką w Warszawie i stali się „poddanymi” Stołecz- nej Rady Narodowej? Może zapomnieli już o Poznaniu, a może tęsknią za nim?

Prof. Walerian Bierdiajew nie ukrywa trudności, na ja- kie napotyka na nowym miej- scu pracy.

— W Warszawie znacznie trudniej jest coś zmontować niż w Poznaniu — mówi. — Zespół jest wprawdzie więk- szy, ale większe też są kłopoty z dojazdami do teatru, z załatwianiem codziennych sprawunków, z utrzymaniem regularnego trybu życia i za- jęciem. Częste choroby, jak rów- nież szerszy niż gdziekolwiek udział artystów zawodowych w życiu społecznym stwarza-

WARSZAWSKICH ARTYSTÓW

SOLIŚCI: BARBARA KOSTRZEWSKA, BOŻENA BRUN-BARAŃSKA, EDMUND KOSSOWSKI, WACŁAW DOMIENIECKI, MARIAN WOŹNICZKO... DY- REKTOR: WALEKIAN BIERDIAJEW...

ją dodatkowe powikłania kie- rowniczej i organizatorskiej pracy.

Prof. Bierdiajew czuje się dobrze i jak zwykle pracuje za trzech... Obecnie przygo- towuje „Lohengrina” Ryszarda Wagnera, a potem, do końca sezonu pozostanie jeszcze „Jezioro łabędzie”, „Faust” i „Don Juan”. Jeśli chodzi o „Fausta” — wejście na na scenę opery warszawskiej w innej niż w Poznaniu wersji.

Rozmawiamy z Barbarą Ko- strzewską. Jest jak zawsze żywa, pełna promiennego u- śmiechu i zapału do pracy. „Mój pięcioletni pobyt w Po- znaniu był jednym z najmil- szych okresów w mej pracy artystycznej” — mówi, dodaj- ąc przy tym, że nie znacz- ny do wcale, aby na nowym miej- scu, w Warszawie czuła się źle.

Mieszkańcy naszego miasta pamiętają dobrze sukcesy ar- tystki chociażby w „Manon”, „Śnieżynce”, czy „Opowie- ściach Hoffmanna”; mieszk- kańcom Warszawy długo zo- stanie w pamięci występ Ko- strzewskiej na przykład w „Traviacie” lub „Czterech gburach” Wolf-Ferrara, a zapewne też w innych ope- rach, do których się obecnie przygotowuje.

Wracając do tematów po- znańskich, zadajemy artystce podstępne pytanie: co z daw- nych, poznańskich czasów

specjalnie mile wspomina? Okazuje się, że oprócz wystę- pów na scenie — również spa- cery nad Rusałką, której w Warszawie, niestety, nie ma...

Bożena Brun-Barańska jest w Warszawie — podobnie jak większość przybyłych ostatnio z Poznania do stolicy arty- stów — od października ub. ro- ku. Ma już poza sobą występy na scenie warszawskiej w „Czterech gburach”, „Jolan- cie”, „Wieczorze przadek”, „Damie pikowej” i „Strasz- nym dworze”. Chciałaby bar- dzo, aby jakimś zbiegiem o- koliczności poznańska Rusał- ka, Puszczykowo, Promno, Osowa Góra, czy Zaniemyśl znalazły się nagle koło War- szawy — tak, aby można było w lecie korzystać z pięknych coniedzielnich czasów. Nie- stety — nasza technika nie zaszła jeszcze tak daleko, aby góry przenosić do Mahome- ta...

Mariana Woźniczko zastaje w łóżku.

— Choroba to niezbyt przy- jemna rzecz — mówi artysta na powitanie — ale mam na- dzieję, że za kilka dni stanę znów do pracy.

Rozmowa schodzi na tema- ty poznańskie — Woźniczko interesuje się wszystkim, co dotyczy naszego miasta. Nic dziwnego — dziewięć lat prześpiewanych w Poznaniu — to okres dostatecznie dłu- gi, aby się żyć z miastem i

LIST Z WARSZAWY

jego ludźmi i długo je wspo- minać.

W listopadzie ub. roku ar- tysta był na gościnnych wy- stępach w Göteborgu i Lulea (Szwecja), gdzie dał 5 kon- certów.

Z Wacławem Domieniec- kim spotykam się w operze.

— Moją pierwszą rocznicę pobytu w Warszawie, która minęła przed dwoma miesia- cami, spędziłem dość osobi- nie — mówi znakomity te- nor — przygotowywałem się mianowicie do wyjazdu na gościnne występy w ZSRR. W moskiewskim Teatrze Wiel- kiem śpiewałem dwa razy, wy- stępując w „Carmen” Bizeta. Leningrad pożegnałem dwu- krotnym występem w „Tos- cie”. W Kijowie byłem znów Jontkiem. Pod koniec stycz- nia wystąpię w tytułowej ro- li w operze „Lohengrin” Wa- gnera. Oczywiście na scenie warszawskiej.

— Poznań wspominać za- wsze z wielkim sentymentem — mówi dalej Domieniecki. — W miarę możliwości przy- jeżdżałbym do Was jak naj- częściej. Prawdopodobnie od- wiedzę Poznań za kilka ty- godni — z czym wystąpię — jeszcze nie wiem. Na razie więc — poznaniakom ser- deczne pozdrowienia i hasło: zobaczmy się wkrótce!

Pozdrowienia przesyłają mieszkańcom naszego miasta również pozostali artyści. Przekazując je za pośrednic- twem „Głosu” chcielibyśmy bardzo odwzajemnić się... zaproszeniem wszystkich na gościnne występy do Pozna- nia.

Karol Rzemieniecki



Bez słów



— Nie mogę przeczytać, co pan napisał pod moim wyprawianiem.
— Napisałem: pisać wyrażnie.



— Tym razem bracie, ta-tusiu?



— Koledzy, to jest piwo!!

Anekdoty

W młodości swej starał się Mark Twain, który wówczas nazywał się jeszcze Samuel Langhorne Clemens, o posadę chłopca okrętowego.

Kapitan nieufnie obejrzał sobie dosyć zaniedbanego chłopaka i mruknął:

— Znamy się na tym. Kto się w domu do niczego nie nadaje, tego rodzice posyłają na okręt.

Mark Twain ostro spojrział na kapitana i odparł:

— Nie, panie kapitanie, to się od czasów Pańskiej młodości zasadniczo zmieniło.

W procesie rozwodowym w Albuquerque (USA) cofnięto skargę o krzywoprzysięstwo. Po zwany pan R. S. Honest udowodnił bowiem, że przebywał do godziny 1 w nocy w biurze.

Aby małżonkowie nie potrzebowali kłamać, wracając o północy z „biura”, właściciel baru Simons nazwał swój bar „Biurem”.

G. B. Shaw bawił u znajomych z wizytą. Pan domu wskazał mu na wspaniałe wydanie Shakespeara za witryną i zawołał:

— To jest moja świętość.
— Pan ma rację — przytaknął poeta. — Świętości się nie dotyka.

Alicja W KRÓLESTWIE AMERYKAŃSKIEJ DEMOKRACJI

Opowiadanie satyryczne amerykańskiego dziennikarza Jacka Falstafa o dziewczynce Alicji, przebywającej w królestwie „amerykańskiej demokracji”, parodiującą znaną książkę dla dzieci angielskiego pisarza ubiegłego wieku, Louisa Carrolla pt. „Alicja w państwie cudów”.

Carroll opowiedział w swej książce o niezwykłych przygodach małej dziewczynki w kraju fantazji, gdzie nie uznaje się logiki, gdzie panuje niedorzeczność i samowola. Po wielu przygodach dziewczynka dostaje się pod sąd, w którym sprawuje swoją wolę obłąkana „dama kierowa”, nakazująca najpierw odrąbać oskarżonym głowy, a później dopiero wydawać wyrok. Alicja spotyka się z Białym Rycerzem, który okazuje się uosobieniem zarozumiałości i łepoty.

Kto są ci wszyscy nieszczęśliwi za kratą? — ze łzami współczucia w oczach spytała Alicja.

— To ludzie, których wina polega na tym, że domagali się wolności słowa — odpowiedział Białe Rycerz.

— Proszę nie śmiać się ze mnie — błagalnie powiedziała Alicja — za to ludzi sądzić nie wolno.

— A kto ci powiedział, że ich się za to sędzi — uśmiechnął się pobłażliwie Białe Rycerz. — Sądzi się ich za co innego. Ich wina polega na tym, że domagali się wolności słowa.

— To znaczy, że za to ich się sądzi?

— Nie. Sądzi się ich za włóczęgostwo.

— A czyż oni są włóczęgami?

— Nie. Ale nie odważa się zaprzeczyć, że rzeczywiście domagali się wolności słowa.

— Ja myślałam, że za włóczęgostwo sądzi się tylko włóczęgów.

— Masz zacofane poglądy. Kto będzie oskarżał włóczęgów o włóczęgostwo?

— A o co?

— O grabież.

— Ale oni przecież na pewno nie są rozbójnikami.

— Możliwe, że nie. Ale są bezdomnymi i w tym tkwi ich wina. A jeśli bezdomnego człowieka przyprze się do muru, to przynajmniej, do czego tylko chcesz. Ech, ty głowo!

— Dobrze — potrząsnęła Alicja lokami — znaczy to, że w Ameryce postępują się tak: jeżeli jesteście winni za jedno, to na pewno oddadzą was pod sąd za coś innego.

— Pardon — Białe Rycerz zmierzwił Alicję wyniosłym spojrzeniem — ja nigdy nie okazałem się w niczym winnym.

— Nie rozumieliście, ja nie miałam Was na myśli. Użyłam zaimka „wy” w ogóle...

— Nie ma co powoływać się na „w ogóle” — krzyknął Białe Rycerz. — Odpowiadaj „tak” lub „nie”!

— Dlaczego „tak” lub „nie”?

— Uznajesz siebie za winną czy nie?

— Ale przecież nie wniesiono przeciw mnie żadnego oskarżenia?!

— Dotąd nie wniesiono. Ale może być wniesione.

— Za co?

— Za to, że masz czulą duszę.

— Miec czulą duszę — to przecież nie przestępstwo.

— Nawet jeśli tak, to wszystko jedno, amerykańska władza nie ścierpi tego.

Mam nadzieję, że nie będzie nudzić was rozmowa ze mną — powiedziała Alicja. Tak bardzo zainteresował mnie system amerykańskiej demokracji, że pragnęłabym dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

— Dziewczynko, ostrożnie dobieraj wyrażenia. Czyś ty czasem nie szpieg? Podejrzanie to muszę wyrazić głośno, a ciebie aresztuję zaraz za sprzeciwianie się aresztowi.

— Ale przecież ja nie sprzeciwiałam się żadnemu aresztowi.

— A jeśli policjant chciał aresztować cię za sprzeciwianie się aresztowi, czy bronilibyś się przeciw temu?

— Chyba tak.

— No, widzisz, twoja wina jest zupełnie jasna.

Ach — westchnęła Alicja zwątpiwszy, że cokolwiek zrozumie — zmieniły lepiej temat rozmowy. Co to za czło-

wiek siedzący samotnie w celi więziennej?

— To — szepnął tajemniczo Białe Rycerz — niebezpieczny przestępca.

— Oho, na prawdę, morderca?

— Co ty? — zamachał rękoma Białe Rycerz. On niebezpieczniejszy niż morderca! On ośmielił się myśleć!

— Ach, to takie przestępstwo?

— Nic nie rozumiesz. Może uznasz też za coś dobrego utrudnianie ruchu ulicznego?

— W jaki sposób ten człowiek mógł go utrudniać?

— I w tym to zawarta jest dogodność naszego demokra-

tycznego systemu, że można oskarżyć człowieka o to, czym nie zawni.

— Dosyć głupi system — powiedziała Alicja.

— Wcale nie głupi — obraził się Białe Rycerz. Przeciwnie, bardzo słuszny. Jeśliś znie-nawidził swego bliźniego tak gorąco, jak mocno zakochałeś się w samym sobie, to nie możesz oskarżać go o to, że jest twoim wrogiem. Po prostu zadzwoni na policję i donieś, że samochód twojego bliźniego stał nocą na ulicy bez czerwonego tylnego światła. Oto masz dowód gietkości naszego systemu.

Poza tym ostatnio został on o tyle udoskonalony, że dzisiaj po to, żeby kogoś oskarżyć, nie wymaga się nawet, aby w samochodzie jego brak było tylnego światła. Wystarczy donieść, że światło mogłoby zepsuć się lub przepalić. Przy pomocy naszego systemu możemy udowodnić, jak dwa razy dwa — cztery, że jeżeli ludzie zebrali się na ulicy, aby omówić zapatrywania człowieka, który ośmielił się myśleć, to mogłoby to przeszkadzać rucho wi ulicznemu.

— Aha, teraz zaczynam coś niecoś rozumieć — z zakłopotaniem wymamrotała Alicja.

— Jeżeli robotnik rozda się na ulicy ulotki, aresztujemy go, oskarżając o włóczęgostwo. Jeżeli ukaże się książka, w której wyrażone poglądy skierowane są przeciw naszym stosunkom ekonomicznym, to ogłaszamy taką książkę za „nie przyzwoitą”, a autora stawiamy pod sąd. Jeżeli jedno oskarżenie okazuje się nie wystarczające, przedstawiamy oskar-

żonemu drugie, trzecie, czwarte. Jeżeli apeluje on do wyższych instancji, to mamy na to w zapasie nowe oskarżenie. W tym tkwi cały urok naszego systemu. Niektórym z oskarżonych udaje się obalić cztery, a nawet pięć różnych zarzutów. Wszystko to jednak przewidzieliśmy. Odsyłamy takich ludzi do domu wariatów.

— Ależ czyż nigdy nie spotyka się tu ludzi, którzy domagaliby się uniewinnienia — spytała Alicja.

— Rzadko, ale bywają. Zresztą nasz system zatroszczył się i o to. Kiedy pod sądny zdąży stracić wszystkie swoje oskarżenia na unieważnienie oskarżenia, przy czym faktycznie spędzi on w więzieniu tyle lat, ile należało mu się odsiedzieć — zostaje uniewinniony.

Spolszczył: H. J.

W westybul w domu Związku Literatów. Drzwi wiodące do sali konferencyjnej. W fotelach siedzi dwóch ludzi: jeden wysoki mężczyzna w bluzie polowej oraz drugi młodszy człowiek, trzymający teczkę skórzaną. Niewątpliwie liryk.

Mężczyzna w bluzie polowej zbliża się do drzwi i próbuje je odemknąć; spoza nich wysuwa głowę sekretarka: „Nie można wchodzić do środka, to warzyś! W żadnym wypadku!” Drzwi zamykają się, mężczyzna wraca na swoje miejsce, siada w fotelu obok liryka.

Liryk (spogląda na mężczyznę w bluzie polowej): „Widzę, że macie wiele odznaczeń! Czy wszystkie z wojny?”

Mężczyzna: Nie, także za pracę!

Liryk: Piszcicie może wiersze?

Mężczyzna: Nie, ja pracuję jako kombajner. Byłem czol-gistą. Obecnie zostałem wyróż-niony i przybyłem na wystawę rolniczą.

Liryk (obojętnie): Aha!

Mężczyzna (spogląda na drzwi): Czy tam już to dawno trwa?

Liryk: Oczywiście! Odbywa się tam właśnie dyskusja, czy w życiu zdarzają się pozytyw-ni bohaterowie. Będą siedzieli głęboko w nocy! A wy co tu robicie?

Mężczyzna: Przysłano mnie tutaj. Ścisłe mówiąc mój kole-ga z pułku. „Wybierz się do Związku Literatów” — powie-dział do mnie — tam poszuku-ją takich jak ty. Znam cię z

PEWIEN BOHATER STAŁ ZA DRZWIAMI

Westybul w domu Związku Literatów. Drzwi wiodące

do sali konferencyjnej. W fotelach siedzi dwóch ludzi: jeden wysoki mężczyzna w bluzie polowej oraz drugi młodszy człowiek, trzymający teczkę skórzaną. Niewątpliwie liryk.

Mężczyzna w bluzie polowej zbliża się do drzwi i próbuje je odemknąć; spoza nich wysuwa głowę sekretarka: „Nie można wchodzić do środka, to warzyś! W żadnym wypadku!” Drzwi zamykają się, mężczyzna wraca na swoje miejsce, siada w fotelu obok liryka.

Liryk (spogląda na mężczyznę w bluzie polowej): „Widzę, że macie wiele odznaczeń! Czy wszystkie z wojny?”

Mężczyzna: Nie, także za pracę!

Liryk: Piszcicie może wiersze?

Mężczyzna: Nie, ja pracuję jako kombajner. Byłem czol-gistą. Obecnie zostałem wyróż-niony i przybyłem na wystawę rolniczą.

Liryk (obojętnie): Aha!

Mężczyzna (spogląda na drzwi): Czy tam już to dawno trwa?

Liryk: Oczywiście! Odbywa się tam właśnie dyskusja, czy w życiu zdarzają się pozytyw-ni bohaterowie. Będą siedzieli głęboko w nocy! A wy co tu robicie?

Mężczyzna: Przysłano mnie tutaj. Ścisłe mówiąc mój kole-ga z pułku. „Wybierz się do Związku Literatów” — powie-dział do mnie — tam poszuku-ją takich jak ty. Znam cię z

Wszystkie rysunki „Uilenspiegel” Amsterdam

Bank, który miał finansować trzecie piętro, zbankrutował.

Właściwie, mamy zamiar iść zaraz do ki-na.

Uważaj, mydło leży w wannie, Piotrze.

Gwizdek

Co ci jeszcze zagrać, Zosiu?

Bank, który miał finansować trzecie piętro, zbankrutował.

Właściwie, mamy zamiar iść zaraz do ki-na.

Uważaj, mydło leży w wannie, Piotrze.

Gwizdek

Co ci jeszcze zagrać, Zosiu?

Bank, który miał finansować trzecie piętro, zbankrutował.

Właściwie, mamy zamiar iść zaraz do ki-na.

Uważaj, mydło leży w wannie, Piotrze.

Gwizdek

Co ci jeszcze zagrać, Zosiu?

Bank, który miał finansować trzecie piętro, zbankrutował.

Właściwie, mamy zamiar iść zaraz do ki-na.

Uważaj, mydło leży w wannie, Piotrze.

Gwizdek

Co ci jeszcze zagrać, Zosiu?

Bank, który miał finansować trzecie piętro, zbankrutował.

Właściwie, mamy zamiar iść zaraz do ki-na.

Uważaj, mydło leży w wannie, Piotrze.

Gwizdek

WITOLD DEGLER

O ZŁYCH KRYTYKACH I ICH PRAKTYKACH

Z tą złą krytyką bywa różnie: czasem taranem wali w próżnię, często patyczkiem mur szturmują — choć niby się nie patyczkuje!

Gdy rumak pasji pod nią zarzy, w lot do straszliwej rusza szarży — i choć, miast kopią, pałką miota, krytyk gra rolę Don Kichota... I niewątpliwie zyska chwałę, że tak wspaniale przegiał pałę!

Nie chcąc uchodzić za niedojdę niejedną popadł w — „schadenfreude”! Ach, życzliwość gdybyż — pół ci panowie mieli — ile żółci! Człeku! Do pióra, gdy się kwapisz, trzy razy pomyśl — a raz napisz!

Z. Nikulin

Wojny i od warsztatu pracy. W ostatnich dwóch latach tak mocno urosłeś, zostałeś akty-wistą i jesteśmy z ciebie dumni. Nawet w głowie ci się nie przewróciło. Wiedzie, takie ga-danie sprawia mi właśnie przy-krość. „Jesteś bohaterem naszych czasów!” — powiedział do mnie — i o tobie powinni właśnie pisać!

Liryk: W takim razie nale-życie do tak zwanych pozyty-wnych bohaterów! (wskazu-je na drzwi) Tam potrzebują takich! Nawet poszukują! Wejdźcie do środka!

(Mężczyzna wstaje, zbliża się do drzwi i próbuje je otworzyć. Ze środka wybiega sekretarka. Mężczyzna cofa się.)

Sekretarka: Towarzyszu! Przecież powiedziałam wam już, że tu odbywa się dyskusja na temat pozytywnego bohatera! Nie wolno wam przeszkadzać! Zrozumieliście? (mija)

Liryk: Dokąd zdążacie?

Mężczyzna: Nie wpuszczono mnie! (potrząsa ramionami).

Z „Krokodila” opr. Jot

Co ci jeszcze zagrać, Zosiu?

Bank, który miał finansować trzecie piętro, zbankrutował.

Właściwie, mamy zamiar iść zaraz do ki-na.

Uważaj, mydło leży w wannie, Piotrze.

Gwizdek

Co ci jeszcze zagrać, Zosiu?

Bank, który miał finansować trzecie piętro, zbankrutował.

Właściwie, mamy zamiar iść zaraz do ki-na.

Uważaj, mydło leży w wannie, Piotrze.

Gwizdek

Co ci jeszcze zagrać, Zosiu?

Bank, który miał finansować trzecie piętro, zbankrutował.

Właściwie, mamy zamiar iść zaraz do ki-na.

Uważaj, mydło leży w wannie, Piotrze.

Gwizdek

Co ci jeszcze zagrać, Zosiu?

Bank, który miał finansować trzecie piętro, zbankrutował.

Właściwie, mamy zamiar iść zaraz do ki-na.

Uważaj, mydło leży w wannie, Piotrze.

Gwizdek

Co ci jeszcze zagrać, Zosiu?